Wydawnictwa rok I
Dnia 22 października 1933 r.

№ 1

# CZERWONA RÓŻA



Tygodnik





Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.



Cena egzemplarza 25 gr.

# WIELKA PRZEMIANA

Żyjemy pod znakiem dziejowej Przemiany.

My, to wraz z Polską cały świat cywilizacji XX wieku.

Historja jest łańcuchem bezustannych przemian. Co pewien czas łańcuch znajduje nowe punkty zaczepienia, od których snuje się dalej. Są to wydarzenia, przeobrażające zasadniczo tradycyjny porządek. Tej miary, co Odrodzenie lub Wielka Rewolucja, Wędrówka Ludów lub Światowa Wojna. Zazwyczaj dojrzewają one niepostrzeżenie. A gdy dojrzeją, rozpoczyna się nowa era, odwraca się jeszcze jedna karta historji.

Znajdujemy się w rdzeniu kryzysu gospodarczego. To znaczy, nie jego zaraniu, ale gdzieś w samej istocie kataklizmu.

Równocześnie jesteśmy świadkami załamania się panującego do niedawna niepodzielnie materjalistycznego światopoglądu: gospodarczo - społecznego, który ukoronował gmach doktryny liberalistycznej potworem kapitalizmu; społeczno-politycznego, który z przykazań Marksa ukuł mechanizację i biurokratyzm sowieckiego systemu.

Kapitalizm i socjalizm — to śmiertelni wrogowie w walce o dobra materjalne. Mają jednak wspólną istotę. Tak wspólną, jak konary jednego drzewa. Wyrosły mianowicie na wspólnym pniu materjalistycznej oceny istoty i celu ludzkiego bytu.

Ugodzone śmiertelnym ciosem Wielkiej Wojny zdają się już należeć do gasnącego świata. Ale w drgawkach agonji wstrząsają organizmami narodów, szukając środków ratunku przed ostateczną zagładą.

I dlatego wszędzie, gdzie młot kryzysu poczyna coraz potężniej kruszyć podwaliny, wre gorączkowe poszukiwanie recepty na uzdrowienie.

Znamienne są te rozpaczliwe wysiłki. Wszystkie bowiem błądzą w granicach tego samego świata materjalistycznej myśli, której wytwory rozpadają się na oczach współczesnych.

A tymczasem gmach współczesnej cywilizacji rysuje się nietylko tam, gdzie chodzi o gospodarcze sprawy. Trzeszczy on w swych najgłębszych fundamentach. Ogół jeszcze nie uprzytamnia sobie tych zmian, choć wyczuwa świt nowego jutra. Dokonują się one bowiem poza dostrzegolnym światem materji — w duszy ludzkiej.

Poprostu przeżywamy kryzys Ducha.

Materjalizm z pasją obalał prawdy i wiary, regulujące powszechną uczciwość i obyczajowość w sposób niedoskonały, ale zaspakajający tęsknotę przeciętnej duszy. Zbudował wzamian świątynię kultu złotego cielca. Naruszając nasz kręgosłup duchowo - obyczajowy, na którym wspierała się bogata kultura Narodu, rozniecił klasową nienawiść, podporządkował duchowe życie żądzy użycia, zasiał powszechne zwątpienie w dobro i sprawiedliwość, zatruł nas jadem negacji, defetyzmu i serwilizmu. Nauczył kupczyć wszystkiem i za wszelką cenę. Rozprzęgł rodzinę i upodlił duszę.

W poszukiwaniu sensacyjnej formy dla robienia kasy polska sztuka zeszła na manowce.

Przeróżne chedery literacko-filozoficzno-obyczajowe, wszelacy prorocy nowej moralności i handlarze ideową galanterją wypaczają duszę naszego Narodu.

Patrząc na zwyrodnienie duchowe potomstwa materjalistycznego credo, obserwujemy jednocześnie przedświt nowej ery.

Na toksynę duchowego rozkładu Narodu i na niewolę Ducha w okowach materji ludzkość poczyna reagować.

Powszechnie dojrzewa idea narodowego Odrodzenia. Jak potężny strumień podziemny przenika ona najgłębsze warstwy społeczne, przeobraża psychiki, znajduje polityczne sformułowania i czynne przedstawicielstwa.

I u nas naprzeciw materjalistycznej doktrynie, w imieniu której międzynarodowy pająk kapitalizmu z jednej, komunizmu zaś z drugiej strony oplata żywe ciało Narodu, poczyna burzyć się prąd narodowej reakcji.

Atmosfera przesycona jest pragnieniem tysięcy, by *dokonała się wreszcie narodowa konsolidacja*, zwłaszcza w obliczu Drang nach Osten Trzeciej Rzeszy i trzymiljonowego rocznego przyrostu ludności wschodniego sąsiada. By wewnątrz państwa Duch polskiego Narodu znalazł obronę przed jadem niszczących wrogich drobnoustrojów. By życie państwa zostało nasycone naszą własną, narodową, polską treścią. By jednem słowem nasze państwo stało się wyrazicielem polskiego Narodu i narzędziem Jego woli.

Dlatego odradza się i triumfuje idea narodowa.

Na maszcie historji świata sztandar nacjonalizmu począł iść w górę. Godzina Wielkiej Przemiany wybiła. Wybiła i dla nas.

Idea narodowo-społecznego odrodzenia Polski zaczyna się urzeczywistniać. Wkraczamy w progi epoki, której znamieniem jest władztwo Ducha nad materją, wiary nad zwątpieniem, pracy nad złotym cielcem.

Oto istota współczesnej Wielkiej Przemiany.

*WIT GROT*

# REGIME ZA MGŁĄ

Zainaugurowany sierpniowym zjazdem legjonistów wielki sezon polityczny rozpoczął się pod znakiem rewizji Konstytucji. Bojowe zawołanie przewrotu majowego — zmiana złego ustroju Państwa — w ósmym roku istnienia rządów pomajowych ma wejść wreszcie w stadjum realizacyjne.

Nie będzie to tym razem owoc żmudnej pracy uczonych profesorów i prawników, starających się z bogatego assortymentu próbek i wzorów wykroić najbardziej odpowiednią dla Polski konstytucyjną sukienkę. Nie z teoretycznych rozważań ma się narodzić przyszły ustrój Państwa i mocą aktu ustawodawczego zreformować od góry do dołu wszystkie dziedziny życia społecznego. Przeciwnie — to raczej istniejący stan faktyczny ma uzyskać wreszcie sankcję prawa pisanego, a niepisana konstytucja „ususów i precedensów" ma przyoblec się w dostojną szatę paragrafów i punktów.

Zachodzi pytanie, czem się tłumaczy owe konsekwentne parcie obozu rządowego do definitywnych rozstrzygnięć w dziedzinie ustrojowej, skoro w myśl miarodajnych oświadczeń, „rewizja Konstytucji ma się sprowadzić li tylko do nadania formy tej treści, która wżyła się już w społeczeństwo, stała się tradycją rozsądku i racji stanu" [1]). Czyżby czynniki kierownicze nie doceniały korzyści płynących z istnienia Konstytucji niepisanej, gdzie cały szereg rzeczy da się zrealizować z pominięciem drażliwego procesu nazwania ich po imieniu? Z całą pewnością można stwierdzić, że tak nie jest. Cała dotychczasowa praktyka obozu majowego zdaje się świadczyć o nastawieniu wprost przeciwnem. Jeżeli więc mimo to, stało się jednak inaczej, to musiały ku temu istnieć ważkie powody. Rozpatrzmy się w ich istocie.

Jednym z tych powodów jest niewątpliwie dążenie do zapewnienia ciągłości władzy swojemu obozowi. W punkt ten bije stale, jak w bęben, cała prawie prasa opozycyjna, uważając go, nie bez pewnej słuszności, za jeden z najsłab-

---

[1]) „Gazeta Polska" z dn. 5.VIII.1933.

szych punktów obronnych régime'u. Tematem niezliczonej ilości publikacyj było i jest wyszukiwanie analogij z dziejami rozmaitego rodzaju dyktatur i rewolucyj, gdzie po załamaniu się młodzieńczych ideałów i wzniosłych haseł przewrotu, jedyną ideą przewodnią grupy rządzącej stawała się prozaiczna chęć utrzymania się przy władzy.

Zdumiewający upór i energja, z jaką sanacja broni swoich pozycyj, jest tłumaczony z reguły albo obawą przed nieuniknionym „gniewem ludu" w razie dojścia do władzy jego rzeczników, albo też poprostu niechęcią do ustąpienia komu innemu miejsca „przy żłobie". Argumenty te, niewątpliwie lapidarne i jędrne, wymagają jednak pewnego omówienia.

Przedewszystkiem więc, zarzut hołdowania poziomemu hedonizmowi, słuszny w stosunku do całego szeregu niższych i wyższych dygnitarzy B. B. W. R., nie może mieć zastosowania do nielicznej czołowej grupy, skupiającej w swem ręku pełnię decyzji i władzy. Cała historja tej grupy od czasów konspiracyjnych począwszy aż do chwili obecnej, nie daje powodów do przypuszczenia, ażeby filozofja „życia i użycia" była jej naczelną religją i promotorem działania.

Z drugiej zaś strony, nic nie jest bardziej obce psychice piłsudczyków od wyrzutów sumienia za dokonany w 1926 roku zbrojny przewrót. W zrozumieniu tej grupy przewrót był tylko „smutną koniecznością odebrania partjom władzy siłą" (oświadczenie płk. Sławka) i stanowi taki sam tytuł do zasługi i chwały, jak naprz. organizacja drużyn strzeleckich przed wojną lub walka zbrojna o Wilno. Z tego punktu widzenia wołającym o pomstę do nieba zamachem było raczej odsunięcie od władzy Marsz. Piłsudskiego, a przewrót był tylko naturalnym przywróceniem przerwanej, lecz mimo to legalnej i zbawiennej dla Państwa ciągłości.

Oczywiście, liczne oświadczenia przywódców opozycji, że nie pogodzili się oni z faktem przewrotu i że jego sprawców czeka „sąd, zemsta i sprawiedliwa kara", mogły spotęgować jeszcze bardziej całkiem zrozumiały instynkt samozachowawczy piłsudczyków i mocne postanowienie nieoddawania nikomu władzy, lecz nie tłumaczy to niewątpliwie całości zagadnienia.

Punkt ciężkości zdaje się spoczywać raczej w owym sui generis „kompleksie psychicznym" piłsudczyków, sprawiającym, że chcą oni wejść do Panteonu historji nietylko jako twórcy polskiego czynu zbrojnego, lecz przedewszystkiem jako budowniczowie i odnowiciele Państwa. Cała długa litanja ich czynów od 1905 roku począwszy, jest w ich zrozumieniu zaszczytnym łańcuchem, któremu brak jest tylko jednej klamry wiążącej — zmiany Konstytucji. „Finis coronat opus" — jak mówi stare przysłowie.

Ta mesjanistyczna świadomość swego przeznaczenia sprawia to właśnie, że jakgdyby posłuszni jakiemuś wewnętrznemu głosowi, wkraczają oni niechętnie i wbrew woli na niebezpieczny i obcy dla nich teren konstytucyjny.

Nie spodziewają się prawdopodobnie na tym terenie łatwych sukcesów i laurów. Muszą się liczyć niewątpliwie z faktem, że trudno im będzie przedewszystkiem osiągnąć jednomyślność we własnych szeregach. Musi im być znany chociażby taki charakterystyczny fakt, że po ogłoszeniu „elitarnej", a więc wybitnie arystokratycznej koncepcji rządzenia, gdy rozległy się wokoło oskarżenia o „nowe szlachectwo", „oligarchję" etc., zabrał głos tak miarodajny przedstawiciel obozu rządowego, jak p. Wojciech Stpiczyński, oświadczając w imieniu swej grupy, że „jesteśmy demokratami", że „nie ostoi się żaden eksperyment ustrojowy, oparty na zaprzeczeniu indywidualności ludzkiej", oraz że „nie chcemy iść drogą gwałtu nad duszą naszego obywatela [1]). A jeden z czołowych teoretyków i praktyków konstytucyjnych obozu majowego, p. Stanisław Car, w miesiąc po warszawskich uroczystościach legjonowych stwierdza, że „od umiejętnego *odnalezienia* równowagi pomiędzy obu temi czynnikami: wolnością obywatela i siłą władzy państwowej zależy siła i moc wewnętrzna Państwa" [2]).

Proces *szukania* nowych form ustrojowych trwa więc w całej pełni nadal. Znalezienie zewnętrznej formy dla treści, która już się, rzekomo, całkowicie wykrystalizowała, nie wydaje się, przy bliższem podejściu, rzeczą tak prostą i łatwą. W samym obozie prorządowym dają się słyszeć wątpliwości i obawy, czy metody i system rządzenia, dobre, być może i zbawienne w pewnym szczególnym okresie istnienia Państwa, posiadają na tyle wartości wiecznych i niezmiennych, aby można było podjąć próbę petryfikowania obecnych stosunków na stałe?... I czy bohaterski okres odbudowywania Państwa, związany z pewnemi wyjątkowemi postaciami historycznemi, może być do tego stopnia uznany za regułę, a nie za wyjątek, ażeby na jego specyficznych cechach można było oprzeć całą przyszłą strukturę Państwa?

Społeczeństwo polskie zajmuje w tym procesie szukania form ustrojowych bierną postawę pasażerów płynącego pośród gęstej mgły statku, na którego drodze wyłaniają się raz po raz coraz to nowe fantastyczne kontury nadbrzeżne, o których z równą słusznością można powiedzieć, że jest to drzewo, krowa, lub komin fabryczny.

Konstytucyjna kuchnia régime'u otoczona jest nadal gęstemi obłokami pary, i tylko skąpe doświadczenia kucharzy oraz gorączkowa krzątanina kuchcików daje możność przypuszczać, że coś się tam — gotuje... *wil.*

---

[1]) „Kurjer Poranny" z dn. 10.IX. 1933.
[2]) „Gazeta Polska" z dn. 5.IX.1933 r.

# DZIEŃ JUTRZEJSZY — DNIEM SŁOWIAŃSTWA

I.

Pilny obserwator dokonywujących się w XX stuleciu procesów politycznych i historycznych powinien dostrzec dwa doniosłe zjawiska w życiu narodów Europy: — *zatracanie świadomości dziejowej* przez narody, które wypełniały dotychczas treścią swego życia nieomal całą treść dziejów naszego kontynentu, i — narastanie, powolne ale wyraźnie widoczne krystalizowanie się *świadomości dziejowej* u narodów, które w daleko mniejszym stopniu tworzyły historję Europy.

Narody pierwszego typu, przez opinję uważane za *stare*, przeżyte, to narody germańskie, a częściowo i romańskie; narody o krystalizującej się świadomości dziejowej, to narody słowiańskie, słusznie uważane za narody młode— narody przyszłości.

W Europie powojennej linja demarkacyjna między temi dwoma ugrupowaniami narodów zaznacza się coraz wyraźniej, bo po zachodniej stronie tej granicy, biegnącej od Bałtyku ku Adrji, skupiają się elementy gwałtu, wielbiące siłę fizyczną, po wschodniej elementy ładu, pokoju i twórczości.

*Hitleryzm* największego germańskiego narodu — niemieckiego jest najlepszym sprawdzianem słuszności tak reasumowanych spostrzeżeń.

W odniesieniu do twierdzenia o zatracaniu świadomości dziejowej przez rasę germańską, hitleryzm jest pełnem wyrazu zjawiskiem negacji i rozkładu wszystkich konstrukcyjnych wartości duszy niemieckiej, z których składało się tysiące lat rozwoju i okresy świetnego rozkwitu tej nacji.

Już w chwili, gdy *prusak* odniósł w duszy germanów zwycięstwo nad niemcem, rozpoczął się gwałtowny odwrót i zanikanie konstruktywnych wartości charakteru narodowego niemców.

Ostateczne zwycięstwo prusaka w Niemczech, czego wyrazem jest triumf hitleryzmu, jest jednocześnie najsromotniejszą w dziejach klęską nacji niemieckiej.

Bo nacjonalizm rasowy hitlerowców, to nie ten nacjonalizm twórczy, znajdujący swe zródło w *duchu* (którego genezę znajdzie czytelnik na innem miejscu), lecz rezultat najbardziej *materjalistycznego* pojmowania przeznaczeń jednostek i narodów.

Hitleryzm, pomimo gwałtownej walki z marksizmem, a może właśnie w niej odsłonił światu tę prawdę, że jest dzieckiem pruskiego generała i socjalistycznej rajfurki. Cała ideologja hitleryzmu (której omawianie nie mieści się w ramach zamierzonego artykułu) nosi wyraźnie znamiona herezji, odszczepieństwa od materjalistycznego pojmowania dziejów, a stempel marksowskiej nauki o sensie międzyludzkiej walki w płaszczyźnie li tylko potrzeb gospodarczych, mimo zaprzeczeń, krzyku i retorycznych deklamacji, wyraźnie jest widoczny na duszy każdego wyznawcy „pięknego Adolfa".

Czysty „rasism" to brutalne wyznanie, że dusza niemiecka zatraciła rozumienie losów swych w krańcowym materjaliźmie, że wyparła się siebie, że nie może odnaleźć się poza zwojami germańskiego tłuszczu i porostem pangermańskiej blond-szczeciny.

Pochód „szturmówek" w przyszłość, ekscytowanych widokami przyszłych rajów na ziemiach Europy wschodniej, walka ze wszystkimi dla dosytu brzuchów niemieckich, tępienie kultury, by nie budziła wyrzutów sumienia i głosów rozsądku, to smutne widowisko, jak naród wielki, losem w środku naszego kontynentu ustanowiony dla dokonania spraw wielkich w przodownictwie świata, zatraca w obłędnym pragnieniu niszczenia swój cel duchowy istnienia na ziemi.

Pruscy generałowie i socjalistyczni agitatorzy — pisarze i ekonomiści, zniszczyli idealistyczne pierwiastki duszy ludzkiej. Brunatny faszyzm jest nowoczesnym upostaciowaniem materji — Arymana.

Koło pionu brunatnego faszyzmu, tkwiącego w Europie środkowej skupiać się będą wszyscy materji wyznawcy, wczorajsi socjaliści, wolnomyśliciele, wyznawcy zasady: „życia i użycia".

W przedłużeniu swem posiada hitleryzm włoski faszyzm, również z socjalizmu wyrosły, równie hołdujący prawu siły fizycznej, dziś w dyplomatycznej grze znajdujący środek dezorganizowania tęskniącej do ładu i pokoju Europy.

Kto dziś ten ład i porządek utrzymuje?

Z jednej strony Francja, której rolę i znaczenie w Europie omówimy na innem miejscu, z drugiej zaś strony kipiącego wulkanu materji — *narody słowiańskie.*

Rolę narodów słowiańskich w świecie niedalekiej przyszłości przewidzieli i przepowiedzieli najznakomitsi nasi myśliciele. Tylko brakowi kultury historjozoficznej w Polsce i kompletnej nieznajomości prac Cieszkowskiego, Libelta, Trentowskiego i Hoene-Wrońskiego zawdzięczamy niezrozumienie przez nasze społeczeństwo misji dziejowej słowiańszczyzny odrodzonej. Zmartwychpowstałe narody słowiańskie od chwili podpisania traktatu wersalskiego stają się najgorętszymi i najszczerszymi rzecznikami pokoju, wbrew opinji powszechnej wykazują tyle woli, chęci i umiejętności życia państwowego, jakich wykazać już dziś nie mogą narody na zachód od nich mieszkające.

Narody te wytrwale, w spokoju budują swe państwa, żadne objawy gangreny materjalistycznej nie są w stanie zatruć ich organizmów — coraz głębsze uświadomienie swych zadań dziejowych uodpornia je na wszelkiego rodzaju infekcje.

A obok tego coraz powszechniejszem śród ludów słowiańskich staje się wołanie o potrzebie porozumienia międzysłowiańskiego. W Bułgarji, Jugosławji, w Czechosłowacji i w Polsce coraz silniejszy staje się „ruch słowiański".

Ruch słowiański jest zjawiskiem znamiennem w dziejach Europy powojennej. Charakteryzuje go tęsknota do takiego zespolenia narodów słowiańskich, by mogły one bronić skutecznie przed zaborczością wrogów, nietylko zagrożonych ziem własnych, lecz by wspólnemi siłami przyniosły światu odrodzenie duchowe.

Treść ruchu słowiańskiego jest idealistyczna. Wszystko „z ducha i dla ducha jest".

Słowiańszczyzna odrodzona staje się bazą *ducha*, wypędzanego z zachodu. W tem tkwi jej młodość, jej posłannictwo dziejowe, którego świadomość dojrzewa w łonie słowiańskich narodów.

Im prędzej ona dojrzeje, im prędzej narody słowiańskie zrozumieją, że proces dziejowy, którego jesteśmy świadkami dzieli z nieubłaganą konsekwencją nasz kontynent na dwa obce sobie światy ducha i materji, tem lepiej będzie dla nas i dla całej ludzkości.

Walka między słowiaństwem i światem germańskim nie będzie więc tylko walką o ziemię i chleb, o prawo do dosytu. Będzie to walka Ormuzda z Arymanem. I dlatego ten, kto pragnie stanowić o losach narodów li tylko na podstawie obliczeń czysto dyplomatycznych, kto powodowany impulsami osobistej sympatji czy antypatji i hazardem dyplomatycznej strategji zapomni o treści dziejowych przeznaczeń — popełni w rachunkach swych zawsze ten błąd, że nie zrozumie ku czemu idzie ludzkość!

Jutro świata, którego twórcą będzie i już jest nasze pokolenie ukształtuje wynik walki słowiańszczyzny—obrończyni praw ducha z jego wrogami. Stajemy do szeregu tych, którzy dążą do słowian powszechnego zjednoczenia.

*L. R.*

# BECK I SOBIESKI

Niedawno zakończyły się uroczystości, związane z dwustopięćdziesięcioleciem odsieczy wiedeńskiej. Również nie tak dawno minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej, J. Beck, złożył oficjalną wizytę w Paryżu na zaproszenie rządu francuskiego. Odsiecz Wiednia w 1683 r. i wizyta min. w Paryżu 1933 r. — jakżeż odległe od siebie na szlakach historji wydarzenia! Bliższe są jednak sobie i specjalną posiadają wymowę niżby przypuszczać można było po pierwszym rzucie oka na bieg politycznych spraw.

Bohaterski król, wielbiony i chwalony przez dwa i pół stulecia, jako zbawca chrześcijaństwa, z wysokości swej chwały niebieskiej niewątpliwie okiem łaskawem odprowadzał polskiego ministra do Paryża. Do tego miasta, od którego wbrew dyktatowi rozsądku politycznego pogromca Turków odwrócony męstwem swem i swem arcychrześcijaństwem gotował ojczyźnie przyszłość bolesną.

Ratował stolicę dynastji (i samą dynastję), której zaborcza reprezentantka Marja Teresa „im więcej płakała, tem więcej brała" ziem zbawcy Habsburskiego tronu—ziem polskich.

Zainicjowana przez Jana Sobieskiego polityka antyturecka a prohabsburska, a więc siłą rzeczy i antyfrancuska, choć z pobudek ogólno ludzkich, a raczej ogólnochrześcijańskich podjęta, w kosekwencji swej bowiem nic innego nie przyniosła, jak tylko wzrost potęgi austrjackiej, która z pruską i rosyjską zgotowały nam długą niewolę. Uzasadnianie bowiem tej polityki twierdzeniem, że gdyby nie uratowali Polacy tronu Habsburgom, toby nawała turecka nas potem zalała—nie odpowiada prawdzie w świetle badań historycznych. Turcja w drugiej połowie XVII stulecia znajdowała się w takiem położeniu, że nawet po zdobyciu Wiednia nie byłaby w stanie utrzymać i wchłonąć w swój organizm państwowy ziem nad środkowym Dunajem, nie mówiąc już o ataku na ziemie polskie. Polska nigdy przez Turków atakowaną nie była, a wojny polsko-tureckie były wynikiem fatalnej polityki na Wschodzie.

Tytuł zaś do chwały z powodu „obrony chrześcijaństwa", staje się problematyczny, jeżeli się zważy, że do ataku na Wiedeń inspirowali Portę Otomańską mocno i usilnie emisarjusze tak arcychrześcijańskiego króla, jakim był król francuski.

Francja, naturalny sprzymierzeniec Turcji muzułmańskiej w jej zapasach z potęgą habsburską, przeszła do historji z pełnią chwały chrześcijańskiej — Polska emblematów misji chrześcijańskiej nie zyskała.

Wszystko, co zmierzało ze strony polskiej do wzmocnienia niemieckiej dynastji Habsburgów, było wymierzone w rezultacie przeciw Francji, a jak bieg dziejów później wykazał — przeciw Polsce. Tak, jakgdyby dziś — wszystko to, co zmieniałoby kurs naszej polityki zagranicznej z profrancuskiego na proniemiecki byłoby niebezpieczeństwem dla Francji, a w ostatecznym dziejów rachunku i dla Polski.

Z logiki dziejów wyraźnie bowiem wynika, że na szachownicy polityki europejskiej losy Polski i Francji ściśle są ze sobą połączone.

Kiedy p. min. Beck obejmował swój obecny urząd zaistniało sporo sugestyj, że zapoczątkowany przez niego kurs nosić będzie niektóre znamiona polityki króla Jana, nie wynikające zresztą z pobudek arcychrześcijańskich i bez potrzeby obrony zagrożonego tym razem od zachodu — Wiednia. Rodziło się niepokojące pytanie — co z tego wyniknie?

Najwidoczniej jednak, uroczyście chwalona 250-rocznica odsieczy wiedeńskiej przypomniała w Warszawie i w Paryżu starą prawdę historyczną o zbawiennej roli sojuszu polsko-francuskiego dla dobra tych państw.

I okazało się, wbrew wielu głosom, że fundamentalna zasada programu polskiej polityki zagranicznej — *zawsze razem z Francją* — nie została naruszona.

Król, świadomy niewątpliwie swych szlachetnych błędów, w niebiesiech odetchnął swobodnie. Beck z Paul Boncourem porozumieli i zrozumieli się lepiej niż on z Ludwikiem XIV. Nietylko jednak na tym odcinku znamiennie różni się polityka zagraniczna Polski dzisiejszej od polityki Polski Sobieskiego.

Całe antytureckie nastawienie Jana Sobieskiego było wynikiem tej fatalnej polityki, jaką od XVI w. zaczęła Rzeczpospolita prowadzić na Wschodzie.

Wyszliśmy wtedy ze swych granic etnograficznych, poszliśmy po linji najmniejszego oporu we wschodnie pustkowia, gdzie zatracała się bezpłodnie energja naszego narodu, i gdzie narosły później te konflikty, które położyły na długie lata kres istnieniu naszej państwowości. Zaprzepaściliśmy natomiast część naszych obszarów etnograficznych na Zachodzie (Śląsk!), a łudząc się trzechsetletnim pokojem nad zachodnią granicą czyniliśmy wszystko, by wyhodować dwie potęgi: habsburską i pruską, aby one nas potem pochłonęły.

Polityka Jana Sobieskiego, to dalszy ciąg działalności ostatnich Jagiellonów, Wazów i Stefana Batorego — którego imię w roku bieżącym, również blaskiem chwalebnych wspomnień i uroczystości było opromienione.

Zygmunt Stary i Zygmunt August kładą ostatecznie kres naszej historycznej ekspansji na Zachód. Utrzymujemy się od tego czasu nad Bałtykiem dość słabo, i w granicach nie odpowiadających zupełnie ówczesnej naszej potędze. Wbrew wszelkiej logice i prawom sukcesyjnym Prusy Książęce otrzymuje ta linja Hohenzollernów, która stworzy później Królestwo Pruskie, co nam dziś nad Warszawą pozostawia Prusy Wschodnie z całym kompleksem niebezpieczeństw z tego środowiska wynikających.

Stefan Batory, Wazowie, Sobieski, parcie na Wschód, kozaczyzna, fatalna polityka w stosunku do Wołoszy i Mołdawji, zalążków ziem dzisiejszej naszej sojuszniczki Rumunji, wojny z Turkami, aczkolwiek niejednokrotnie karty w historji chwalebne sławą rycerską, są to jednak etapy naszego upadku, przez zgubne dla nas w rezultacie parcie na Wschód i zapoznanie zagadnień na zachodniej kraju granicy.

I dlatego, choć czcimy wielkie czyny Stefana Batorego i Jana Sobieskiego, choć sercami gorącemi wielbimy ich chwałę, to jednak z zadowoleniem stwierdzamy, że dzisiejsza nasza polityka zagraniczna nie wzoruje się na tradycjach ich polityki — we Francji widzi nadal sprzymierzeńca, szuka zgody na Wschodzie, mając przed oczyma wyraźnie nasze zadania zachodnie.

Na południu, którego ziemie wchłonęły niepotrzebnie najszlachetniejszą krew naszych przodków, dawni nasi nieprzyjaciele są naszymi wiernymi przyjaciółmi.

Pan Titulescu w Warszawie i Polonja Restituta na piersiach attaché wojskowego Turcji, to ciche potwierdzenie tej przyjaźni. Jeśli w dalszym wypadków rozwoju do tych przyjaciół na południu dojdą i nasi słowiańscy pobratymcy, a na północy ongiś nasi współobywatele, to z oczami uważnie na zachód utkwionemi będziemy mogli, chwaląc rycerskie czyny Wiednia, Pskowa i Cecory, spokojnie rozmyślać i przypominać czasy Grunwaldu, Płowiec, Psiego Pola i Budziszyna, jakżesz nieskończenie bardziej dla nas zrozumiałe i bliższe.

Polityka Polski odrodzonej bierze rozbrat z zastarzałemi sentymentami i frazesami romantycznemi i na realnych szlakach naszej racji państwo-narodowej, powiążę niewątpliwie swe działanie z testamentowemi wskazaniami wielkich Piastów.

*LUDOMIR RUBACH.*

# PERKUNAS ATAKUJE!

„Kwestji wileńskiej" nikt w Polsce i zagranicą — z wyjątkiem oczywiście Kowna i najbliższych okolic — zbyt poważnie nie traktuje. Nie istnieje ona dla dojrzałego polityka jako problem, który mógłby wywrzeć wpływ na wielką politykę gabinetów europejskich. Elementy tej „kwestji" są zbyt zaściankowe, by móc zaważyć na szali wydarzeń dziejowych. Zbyt blisko jest ośrodek bardziej tajemniczych i ważkich w swych skutkach wydarzeń politycznych na wschodzie Europy, który absorbuje całą uwagę polityki europejskiej.

Inaczej przedstawia się ta „kwestja" dla nas, z punktu widzenia naszej polityki wewnętrznej. Litwini w Polsce są bodajże jedynym odłamem naszych mniejszości narodowych, traktowanym w zgoła wyjątkowy, rzecz można — uprzywilejowany sposób. Cały szereg historycznych przyczyn sprawia, że do kwestji litewskiej podchodzi się u nas od strony sentymentalno-uczuciowej, a samych litwinów traktuje się tak, jak w licznej rodzinie najmłodszego i kapryśnego synka, na którego „wyczyny" patrzy się z uśmiechem i pobłażliwością przez palce.

Być może, że stanowisko takie jest usprawiedliwione częściowo poczuciem wybitnej dysproporcji pomiędzy siłami i znaczeniem Polski a Litwy, tem niemniej jednak musi być uznane za niedopuszczalne, gdy dzięki niemu uważa się za nieszkodliwą zabawę to, co jest zupełnie wyraźnym, planowym i konsekwentnym atakiem.

Zacytujemy jeden z tych charakterystycznych wypadków, które w ostatnich miesiącach rozgdywają się na „froncie wileńskim" (jak to określa urzędowa prasa kowieńska), a na które prasa polska — poza mało czytaną gdzieindziej prasą wileńską — zupełnie nie zwraca uwagi.

W lutym b. r. obchodzono w Wilnie nader uroczyście obchód 15-lecia niepodległości... Litwy. Szczegóły przytaczają „Sprawy Narodowościowe" *).

„Na program uroczystości złożyły się: solenne nabożeństwo w kościele św. Mikołaja, odprawione przez kilku księży-Litwinów, oraz akademja urządzona przez Tymczasowy Komitet Litewski. Wszystkie przemówienia, wygłoszone w tym dniu, nacechowane były wyjątkowym aktywizmem w sensie irredentystycznym. Ks. *Czybiras*, podczas

*) „Sprawy Narodowościowe". Czasopismo poświęcone badaniu spraw narodowościowych. Warszawa. Rok VII, styczeń—marzec, 1933. Nr. 1, str. 84—86.

wygłaszania kazania w kościele, zaniósł modły o przyłączenie „Wilna i innych ziem litewskich" do Litwy. Najbardziej zaś mocne słowa padły z ust księdza *Kraujalisa*, znanego działacza litewskiego. Między in. podkreślił on konieczność realizacji ideałów niepodległościowych białoruskich i ukraińskich i braterskiej współpracy z narodem litewskim. „Warunkiem do ziszczenia tych ideałów — mówił ks. *Kraujalis* — jest konieczność istnienia Wielkiej Litwy ze stolicą w Wilnie, które dotychczas jest pod obcą okupacją". Następnie wezwał mówca młodzież litewską do wzmacniania patrjotyzmu i wytrwałego dążenia do połączenia Wilna z Kownem, zaznaczając przytem, iż „naród litewski jest wojowniczy i w chwili odpowiedniej pójdzie w bój, by zrzucić obcą przemoc".

Przecieramy ze zdumienia oczy, czytając te słowa! Jakto, więc pod okiem władz polskich odprawia się publicznie modły o rozczłonkowanie Rzeczypospolitej, urządza się akademję, na których skarży się na „okupację" Wilna, wzywa się publicznie do „zrzucenia obcej przemocy!"... i to wszystko jawnie, bez skrupułów, bezkarnie, licząc na osławioną „tolerancję polską", i — trzeba to ze wstydem przyznać, — obliczenia prowodyrów litewskich okazują się, niestety słuszne — bo kto wie, czy właśnie któryś z pobożnych uczesników tych „uroczystości" nie został potem zaproszony do Spały... na dożynki!

Tak to wygląda w Polsce, — na Litwie Kowieńskiej jest nieco inaczej! Tam, jak to się mówi, Polakom nie wolno nawet pisnąć. Znanym jest fakt, że kiedy na polskiem boisku sportowem podczas meczu piłkarskiego aut-line'y były oznaczone chorągiewkami czerwono-białemi, gracze i gospodarze powędrowali również do budynków państwowych — ale nie do letniego pałacu pana Smetony, by tam z jego żoną (z pochodzenia Polką) herbatkę spijać — ale do więzienia! Tak to wygląda w Litwie — im to wolno: wszak to tylko mały, kochany, niesforny benjaminek, który przecież zrozumie wkrótce, że to nieszlachetnie i nieładnie, że wspólna przeszłość, że Idea Jagiellońska, etc. etc....

I znów mamy dysproporcję — jedną z tych klasycznych polskich dysproporcyj, które czerwoną nicią przewijają się przez wszystkie karty dziejów polskich.

* * *

Niedawno odbył się w Kobryniu głośny proces przed sądem doraźnym przeciwko kilku chłopom i jednej Żydówce za to, że posiadając kilka starych karabinów, zaatakowali posterunek policyjny, co miało być hasłem do oderwania od Polski całego województwa! Oczywiście zdrada stanu, nie ulega wątpliwości. Słusznie dosięgnęła ich karząca ręka sprawiedliwości. W wypadku wileńskim w tych samych celach użyto całą machinę organizacyjną mniejszości litewskiej w Polsce, podszczuwano tysiące ludzi przeciwko Rzeczypospolitej, — ale sprawiedliwość była w tym wypadku nietylko ślepa, ale i głucha! Czy zestawienie procesu buntu białoruskiego i uroczystości litewskich nie potwierdza raz jeszcze istnienia dysproporcji, i to takiej dysproporcji, za którą ze wstydu i oburzenia musimy się rumienić!

Ale Litwini nie ograniczają się wyłącznie do propagandy i demonstracyj. Jak stwierdził niedawno prezes „Związku Wyzwolenia Wilna" p. prof. Birżyszka, Związek prowadzi intensywną akcję na terenie samego Wilna, wykorzystując ciężką sytuację gospodarczą i systematycznie wykupując nieruchomości miejskie. Kto wie, być może zjawi się wkrótce na gruncie międzynarodowym nowy argument, że Wilno musi dlatego powrócić do Litwy, że jest de facto... litewskie!

* * *

Niemamy zamiaru w jednym artykule rozwiązywać problemu współżycia polsko-litewskiego, ale chcielibyśmy wskazać na jeden składnik naszej polityki wobec mniejszości litewskiej, który dotychczas był zupełnie pomijany, a który jednak winien stanowić główną oś tej polityki: jest to zasada wzajemności. Gdybyśmy zastosowali tę zasadę w całej rozciągłości, zapewne nikt nam tego nie wziąłby za złe, a nawet przeczulone histeryczki genewskie musiałyby przyznać, że Polska wreszcie zmądrzała. A przecież potrafiliśmy w swoim czasie zdobyć się na narzucenie naszego autorytetu w stosunku do Litwy nawet na śliskim terenie międzynarodowym. Treściwe a jasne pytanie „wojna czy pokój?" było tego najlepszym dowodem. Czy nie czas już najwyższy na powtórzenie tego pytania na gruncie... wewnętrznym?

*WITOLD JARZĘBECKI.*

# UWAGI I REFLEKSJE

## CZY TYLKO TAKTYKA?

Szczęśliwą myślą było ochrzczenie wewnętrznej pożyczki państwowej mianem narodowej. Inicjatywa ta wskazywałaby, że siła emocjonalna haseł narodowych znalazła wreszcie uznanie w stronnicswie rządowem. Podobnie umiejętnie został wykorzystany narodowy emblemat w dniu tegorocznego święta Morza.

Bardzo słusznie. Ale — mała refleksja. Czy właściwe byłoby ograniczanie praw obywatelskich idei narodowej jedynie do wskazań politycznej taktyki? Czy taka metoda nie graniczyłaby z ideowym oportunizmem? Uczciwość wskazuje bowiem albo oddać się pewnej idei całą duszą, albo też zrezygnować z jej atrakcyjności.

W przeciwnym razie zawibrować może w patetycznej atmosferze zupełnie wyraźna fałszywa nutka.

* * *

## NIESŁUSZNE DĄSY.

Jedną z najpiękniejszych reguł w walce politycznej jest lojalne przestrzeganie zasady „Suum cuique". Oddać każdemu według jego zasług, chociażby ten ktoś był przeciwnikiem. Gdy zasada ta nie jest przestrzegana, a nawet na gwałt są tworzone fałszywe pozory, aby za wszelką cenę oczernić wroga, to może to wywołać tylko uczucie niesmaku.

Refleksje powyższe nasuwają się po przeczytaniu artykułu p. Wojciecha Stpiczyńskiego w „Kurjerze Porannym", w którym zarzuca on organom Str. Narodowego zbojkotowanie pożyczki.

„To milczenie organów Str. Nar. i PPS jest jedną z najwymowniejszych manifestacyj nicości tych stronnictw. Po akcji bojkotowania suwerenności Narodu, jakim jest wybór Głowy Państwa, bojkot dzieła samodzielności gospodarczej Państwa, — oto zarys drogi, której kontynuacja jest conajmniej zbyteczna".

O ile nam wiadomo, sprawy przedstawiają się nieco inaczej. P. red. Włodek wziął udział w imieniu „Gazety Warszawskiej" w konferencji pracowej u p. Komisarza Rządu w sprawie propagandy pożyczki, a redagowany przezeń organ zamieścił parę artykułów, stwierdzających korzyści ulokowania wolnych kapitałów w obligacjach Pożyczki Narodowej. Był to zupełnie wyraźny apel do drobnych ciułaczy, aby przestali magazynować złote i dolary w pończochach i materacar.

Niestety, jak to bywa najczęściej w życiu, praktyka nie zawsze idzie w parze z teorją, dlatego też na listach subskrybcyjnych trudno jest podobno znaleźć nazwiska współpracowników „Gazety Warszawskiej"...

* * *

## BRAWO, P. POŚLE STRZETELSKI!

Zupełnie nieoczekiwane wnioski z faktu rozpisania pożyczki wyciągnęli posłowie Stronnictwa Narodowego, którzy, nie chcąc być posądzonymi o niski materjalizm, opodatkowali się na rzecz... funduszu prasowego Stronnictwa! Wyjątek stanowił tylko redaktor naczelny „ABC", p. poseł Stanisław Strzetelski, który demonstracyjnie przeznaczył swe miesięczne djety poselskie na zakup obligacyj Pozyczki Narodowej. Brawo, p. pośle Strzetelski!

* * *

## SZTANDAR W POCZAJOWIE.

Zagadnienie Cerkwi Prawosławnej w Polsce nie przestaje od pewnego czasu absorbować uwagę znacznego odłamu opinji polskiej. Asumpt ku temu dała zorganizowana przez ukraińskich posłów z BBWR demonstracja w Poczajowie, podczas której domagano się „derusyfikacji Cerkwi", wprowadzenia ukraińskiej hierarchji, ukraińskiego języka i t. p.

Prasa polska odniosła się do tej demonstracji naogół przychylnie, PAT rozesłał wyraźnie inspirowane komunikaty, a oficjalna „Gazeta Polska" zaopatrzyła opis zajść uwagą, sugerującą Cerkwi Prawosławnej konieczność zmiany „niewłaściwej polityki".

W przytoczonych komunikatach brakuje jednak wzmianki o pewnych dwuch charakterystycznych faktach, na które zwraca uwagę „Woskriesnoje Cztienje". Oto, po pierwsze, w zorganizowanych zajściach brał b. czynny udział poseł Selrobu p. Czuczmaj z bandą swoich „komsomolców", a po drugie — hasłem do rozpoczęcia demonstracji było podniesienie na szczycie dzwonnicy poczajowskiej olbrzymiego żółto - niebieskiego sztandaru. Gdy, jak podaje wymienione pismo, władze Ławry chciały tę chorągiew usunąć, obecny przy zajściach policjant dał w b. stanowczej formie „przyjacielską radę", aby tego nie czynić...

Gdy w 1918 roku podobny sztandar został wywieszony na szczycie wieży ratuszowej we Lwowie, było to hasłem do powstania Orląt. Gdy w 15 lat później ukraińska chorągiew zostaje publicznie wywieszona w sercu Wołynia — korzysta ona zopieki oficjalnego przedstawiciela władzy.

Zachodzi pytanie, jaki jest sens całej tej polityki? Niewątpliwie, można nie lubić rosyjskiego duchowieństwa z powodu dobrze znanych faktów historycznych. Można przypuszczać, że z chwilą ewentualnego restytuowania carskiej prawosławnej Rosji zmieni się na naszą niekorzyść jego niesporna i niekwestjonowana dotąd lojalność. Ale konia z rzędem temu, kto potrafi wytłumaczyć, jaki interes ma Państwo Polskie w kultywowaniu i popieraniu bojowego nacjonalizmu i szowinizmu ukraińców?...

* * *

## GRANICE PROWOKACJI.

Bardzo ciekawy eksperyment przeprowadza młode pismo „Biuletyn Polsko-Ukraiński", zamieszczając na swych łamach prace publicystów zarówno polskich jak i ukraińskich. W jednym z ostatnich numerów zabrał m. in. głos współpracownik „Diła" p. Miron Korduba, zwracając uwagę na „prowokujący" napis, umieszczony na pomniku w Zbarażu, gdzie jest mowa o „polakach ziemi zbaraskiej, którzy zginęli śmiercią męczeńską z rąk zdziczałych i obałamuconych rusinów".

Można się zgodzić, że napis jest istotnie nietaktowny i niesmaczny. Z majestatem śmierci harmonizuje raczej spokój i przebaczenie, niż jątrzenie i wyzwiska. Ale z drugiej strony, redakcja „Biuletynu" dała niejednokrotnie dowody, że skłonna jest niepomiernie rozszerzać pojęcie „prowokacji". W jednym z numerów zostało stwierdzone całkiem wyraźnie, że za prowokację uważa się nawet... uroczysty obchód rocznicy przejścia Lwowa w polskie ręce!...

Czy pp. ukraińscy współpracownicy „Biuletynu" nie dojdą wkrótce do tego, że za prowokację będą uważali samą obecność władz polskich na terenie Małopolski Wschodniej?...

* * *

## WIELBŁĄD W TRIOLECIE.

Na ciekawe zjawisko zwraca uwagę ostatni numer „Buntu Młodych", a mianowicie na manję wyszukiwania „polskiego Hitlera". W sporcie tym prześcigają się wzajemnie rozmaitego rodzaju „faszyzmy polskie", przyczem jedne z nich pędzą żywot we łzach i rozpaczy, nie mogąc znaleźć odpowiedniego kandydata na Führera, drugie zaś, upatrzywszy Bogu ducha winną ofiarę, wmawiają na gwałt w nią i w siebie, że to właśnie w ich środowisku objawił się autentyczny nowy Mesjasz.

Podobnie nieludzkiego eksperymentu dokonuje ostatnio, jak się okazuje, Legjon Młodych na osobie... p. Zapasiewicza! „Bunt Młodych", omawiając jedno z wydawnictw tej organizacji, pisze co następuje:

„Znajdujemy tam na każdym kroku fotografje z takiemi, naprz.. napisami: „Legjonista Zbigniew Zapasiewicz, Komendant Legjonu Młodych, przemawia", albo „Leg. Zb. Zap., Komendant Gł. Leg. Mł., wita" i t. p. Wszędzie Zapasiewicz, przez Zapasiewicza etc. Wyraźnie polski Hitler. Dobrze. Niech sobie będzie Hitlerem. Sprawa gustu, Ale niech nie myśli, że przez naśladowanie tytułów, noszonych kiedyś przez Józefa Piłsudskiego potrafi kogoś wprowadzić w błąd. Piłsudski pozostanie Piłsudskim, Zapasiewicz zostanie Zapasiewiczem.

Człowiek nie jest wielbłądem,
Wielbłąd nie jest człowiekiem.
Różnią się wyglądem,
Człowiek nie jest wielbłądem.
Zgodzisz się z tym poglądem
Kiedy zmądrzejesz z wiekiem, —
Człowiek nie jest wielbłądem.
Wielbłąd nie jest człowiekiem".

Od siebie możemy dodać, że wielbłąd różni się od człowieka... nietylko wyglądem.

***WSZYSTKICH NASZYCH CZYTELNIKÓW I PRENUMERATORÓW PROSIMY O NADSYŁANIE ADRESÓW OSÓB, KTÓRYM MOGLIBYŚMY PRZESŁAĆ OKAZOWE NUMERY NASZEGO PISMA.***

# ZE ŚWIATA

## WIATR REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ.

Wielkie literackie czasopismo francuskie „Les nouvelles litteraires" wystąpiło z ciekawą ankietą poświęconą zagadnieniu, czy Wielka Wojna była istotnie rozgraniczeniem dwuch epok i czy miała taki wielki wpływ a jednocześnie zgubny na moralne i ideowe życie dzisiejszej ludzkości. Śród licznych odpowiedzi najznakomitszych przedstawicieli świata nauki i sztuki, zwraca uwagę swą oryginalnością odpowiedź znanego architekta Francis Jourdain, który powiedział między in.: „Czyż naprawdę sądzicie, że wojna wyryła tak głęboką bruzdę, któraby stanowić miała granicę dwuch epok? Wierzycie doprawdy, że wojna zburzyła nasze poglądy i wytworzyła nową etykę? Ja nie sądzę tak. Wojna była na polu moralności tylko strasznem ale małem wydarzeniem. Dramat naszej epoki nie został odegrany ani pod Verdun, ani nad Sommą ani nad Marną. Był odegrany i jeszcze dziś się dokonuje w Moskwie. Nie mówię tego w znaczeniu politycznem. Niech jakikolwiek będzie pogląd na rewolucję październikową, lecz tylko ona była istotnie wielkiem wydarzeniem naszej epoki. Od czasu tego października wszystko stało się wątpliwem, od tego października musimy poddawać rewizji wszystkie nasze poglądy, według których żyliśmy. W owym październiku coś się zmieniło. Wiatr rewolucji październikowej wytworzył szczelinę między dwoma epokami, między dwoma sposobami istnienia i między dwoma sposobami myślenia. Od lat dwuch tysięcy nie spadła na człowieka taka burza. Być może, że lata około 1900 r. były „szczęśliwsze", ale te które my przeżywamy na ruinach są „bardziej wzruszające"... Głos Francis Jourdain'a jest odosobniony. Inni uczestnicy ankiety utrzymują, że Wielka Wojna jest granicą dwuch epok, z których stanowczo wolą tę przedwojenną.

## CO O AKADEMIKACH POLSKICH MÓWI CZESKI STUDENT.

W roku bieżącym śród licznych wycieczek czechosłowackich, które odwiedziły Polskę, była również wycieczka czeskich akademików, którzy spędzili miesiąc w obozach nad polskiem morzem. Wrażenia z pobytu w Polsce opowiada na łamach dwutygodnika „Modra revue" p. Józef Bican w art. „Lato nad polskiem morzem", w którym znajdujemy ciekawe uwagi o naszej młodzieży akademickiej. Pan Bican pisze, że „z Polakami najczęściej stykaliśmy się podczas gier, potem na plaży a najczęściej wieczorem na tańcówkach. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczegośmy się tak gorąco oddali tańcom, dlatego, że — jednomyślnie osądziliśmy — wystarczy zobaczyć czesko-polskie pary jak tańczą, by umrzeć, czyli że nikt na świecie (według naszego mniemania) tak mizernie nie tańczy jak Polacy i Polki. Nietylko, że was wytrzęsą, ale i pogniotą a w czasie walczyka, w którym wolno tam mieć jedną rękę w kieszeni, możecie dostać choroby morskiej"... A dalej. „Z rozmów wynieśliśmy dosyć dokładny obraz polskich studentów. Poziom ich studjów — w związku z ich zachowaniem się — zawiódł nas, gdyż bardzo często na prymitywne pytania z zakresu ich studjów pozostawali dłużnikami z odpowiedzią. Ani też ich wiadomości językowe nie są wcale najlepsze: niemiecki — ze szkodą dla siebie — bojkotują, za to każdy mówi, że zna język francuski. Niestety, nie mogliśmy się rozmówić po francusku nawet z filozofką, która już trzy lata studjowała romanistykę jako główny przedmiot". Tyle o wiedzy. Teraz o sporcie. — „W sporcie mają mniej więcej ten sam poziom, co i my, ale i tu są zbytnio zarozumiali. W Polsce w wielkich miastach wychowanie fizyczne wyżej jest postawione niż u nas a wychowanie wojskowe młodzieży podniosło bardzo znacznie zdolności fizyczne. Najlepiej można zaobserwować to u dziewcząt, które zdają się być bardziej usportowione i mniej „maślane" niż nasze. Niektóre są nawet aż zabardzo „męskie"... (chlapské).

## WIĘZIENIE W SAINT-LAZARE.

Pamiątkową budowlę paryskiego więzienia w Saint-Lazare, które odegrało straszną rolę w okresie Wielkiej Rewolucji, zburzono, wbrew sprzeciwom i protestom ogółu. Przy tej okazji przypomniano te wybitne osobistości, które w murach tego więzienia spędziły resztę dni swego życia. Z poetów owych czasów przeżył tam niezwykłą miłosną historję André Chénier (1762—1794), który podejrzany o działalność kontrrewolucyjną został ścięty.

## REKORDY LOTNICZE W SOWIETACH.

Słynne polskie samoloty myśliwskie, które odniosły zasłużony sukces podczas ostatniego rajdu powietrznego do Bukaresztu, mają godnych współzawodników w sowieckich aparatach typu AIR—7 konstrukcji inż. Jakowlewa. Próby samolotów tego typu odbyły się niedawno na lotnisku moskiewskiem pod kierownictwem pilota J. Piątkowskiego, który ustalił na nich dwa nowe wszechzwiązkowe rekordy — długości lotu bez lądowania oraz szybkości (ponad 300 klm. na godzinę). Samoloty AIR—7 są wykonane całkowicie z materjałów krajowych i są zaopatrzone w sowieckie silniki typu M—22.

Zaznaczyć należy, że podobnie jak zwycięzca Arktyki — słynny pilot sowiecki p. Lewoniewski, tak i p. Piątkowski są z pochodzenia Polakami.

# TEATR

## DZIEDZICE SNOBIZMU

*(na marginesie „U Mety" H. Rostworowskiego).*

O dramacie Rostworowskiego „U mety", granym jako część trzecia trylogji scenicznej (Pierwsze dwie: „Niespodzianka" i „Przeprowadzka") w Teatrze Narodowym, pisze w swej recenzji z dnia 3.X b. r. w „Gazecie Polskiej" p. Kazimierz Wierzyński, że „Roztworowski rozpętał siły iście demoniczne, ale przyczyny i cele tego porywu, który chwilami ma tchnienie genjuszu, omijają widza i nie oddają mu intencji autora".

Uważnie wczytujemy się w te słowa autora „Lauru Olimpijskiego". Chyba nieporozumienie? Utwór bowiem Roztworowskiego tak plastycznie odtwarza właśnie przyczyny i cele tego wielkiego porywu, który ze sceny spływa do serc, a co ważniejsza, do sumień widzów, że tylko bardzo nieliczni nie mogli zrozumieć intencji dramaturga i jego celu nietylko artystycznego, ale i społecznego. Do tych jednak nielicznych mistrza olimpijskiego i świetnego poety zaliczyć nie możemy.

Nie chcemy wierzyć ażeby nie przeżył on wraz z innymi tego wstrząsu sumienia narodowego, gdy Rostworowski obnarza wnikliwie najstarsze i najnowsze zło duszy polskiej — snobizm. Ten snobizm sarmacki, który jednostce nie szkodził, a naród o utratę wolności przyprawił. Ten snobizm, który z Polski szlacheckiej przedostał się niezauważony do Polski demokratycznej, ludowej i zapanował nad duszami wszystkich: i tych pod strzechami, i tych z suteryn, i tych, którzy czują się być „inteligencją".

Nie jest on zjawiskiem tak niewinnem, jak sądzą niektórzy. Niszczy energję jednostek, podrywa spoistość warstw naszego narodu.

Świetnym uplastycznieniem tej smutnej prawdy jest właśnie dramat Roztworowskiego.

Nie chodzi bowiem w tym utworze li tylko o tragedję jednej rodziny mieszczańskiej, o tragedję profesora estetyki, wyniesionego z nizin gnojówki wioskowej zbrodnią i pracą innych na wyżyny katedry uniwersyteckiej, nie boli nas upadek z wyżyn pychy na nizinę prawdy o swem pochodzeniu jednej krakowskiej wampirzycy ani nawet zawód życiowy jedynej wartościowej postaci w tej sztuce — szofera Zająca.

Dramat omawiany stawia przed oczy nasze jedno z zagadnień polskiej rzeczywistości. Ukazuje rodzinny wrzód, który trawi niszczycielsko siły narodu. Jest on przerzutem z epoki rozbiorowej i dawniejszej, szlacheckiej. Jak wówczas snobizm szlachty topił w bagnie gnuśnego indywidualizmu lepsze możliwości narodu, dzisiaj snobizm ludzi z „pierwszego pokolenia" jest najbardziej charakterystyczną wadą naszego społeczeństwa. Rozejrzyjmy się uważnie wokoło. Nuworysze intelektualni i nowobogaccy „inteligenci", od których roi się w kawiarniach i na ulicy, panie i panienki „z towarzystwa", z dancingów i te, które co chwila nas mijają, czyż nie znalazły w rodzinie Cimkiewiczów, w profesorze Szywale swych najdokładniejszych fotografji. Zalew półinteligenckiego snobizmu, mocnego w łokciach i języku, a słabego w głowach, bez tradycji — choćby właśnie zdrowej chłopskiej — czyż nie stanowi niebezpieczeństwa dla kultury narodu.

A te panny Cimkiewiczówny, ocierające się wypukłym dekoltem o drzwi domu rozpusty, wyglądem nie różniące się od lepszych kokotek, czyż nie stanowią plagi coraz rozlewniejszej i powszechniejszej?

Wszyscy oni ze snobizmu wynikli a jest ich nie setki lecz legjon cały, kapłanów i kapłanek absurdu, tak znamiennego dla mentalności tysięcy „powojennych" naszych rodaków.

Parcie chłopa i robotnika wzwyż, toż to zjawisko zdrowe, cudowne, regenerujące naród. Niestety! Chłop i robotnik wyszedłszy na wyższy poziom miast regenerować, — sam się degeneruje — „arystokratycznieje" — wypiera się rodziny, odcina od tych, których winien za sobą pociągać wzwyż. Przykład? Chociażby wodzowie partyj ludowych i robotniczych. Oto zło bardziej powszechne, niż mniemają niejedni, które ukazał Roztworowski bardzo ciekawie i mistrzowsko w dramacie „U Mety".

Przestrogą jest ta „meta", abyśmy w tem „arystokratyzowaniu" całego już narodu nie zatracili zdrowego sensu życia, tak jak go zatracił Szywała — Szywalski profesor estetyki. Aby młoda idąca Polska nie wniosła w swe życie wszystkich grzechów tego snobizmu, którego rola przy upadku Polski szlacheckiej jeszcze niedostatecznie została naświetlona.

Hnydziński koncertował. Cały zespół — pracował wzorowo. Tylko Ziembiński zbyt mało ufał uczuciu. W jego grze widoczny był wysiłek intelektualny — brakło serca. Nie wina to reżysera, Solskiego, którego interpretacja znakomitego utworu w całości jaknajbardziej trafia widzom do przekonania.

*Ll.*

# FILM

## STYLOWY — KAWALKADA.

„Kawalkada"—film, któremu wiele można zarzucić z punktu widzenia artyzmu filmowego i zdobyczy techniki filmowej, przyciąga codzień liczne rzesze widzów.

Czemu przypisać, że kronika rodzinna, biorąca swój początek z łatwego zwycięstwa Anglji wiktorjańskiej nad boerami, a zakończona rokiem 1933, tak bardzo interesuje mieszkańców Warszawy?

Są dwa powody, dla których przypuszczam, że widzowie chętnie „Kawalkadę" oglądają.

Pierwszy — to panorama życia przedwojennego dla nas, dzieci epoki kryzysu materjalnego i moralnego, będąca jakby opowiadaniem z bajki, pełnem słodkiego spokoju, zazdrości godnego. Boć przecież zazdrościmy matkom i ojcom naszym, że żyli tak nieskończenie inaczej od nas, a choć może życie ich równe, bezpieczne nie było ani takie ciekawe, i choć było to życie schyłkowców, przecież w męce tworzenia nowego jutra ziemi, tęsknimy czasami za jego sielskim nieomal dosytem, jak tęskni się czasami w dniach chmurnego wieku dojrzałego za bajkami dzieciństwa.

W życiu ludzi z lat dziewięćsetnych jest dla nas wiele z bajki, i dlatego epoka długich sukien, „kankana" i „Titanica" tak nas, jak miła, uśmiech budząca bajka, interesuje. Ale nad ową bajką wisiała czarna chmura wojny europejskiej. Jej zbliżanie się raz jeszcze rozpamiętywujemy, oglądając „Kawalkadę", rozpamiętywujemy bolesną przeszłość, świadomi, że oto znów wisi nad nami chmura wojny, jeszcze groźniejszej, potworniejszej.

To podobieństwo położenia ludzi z roku trzynastego i naszego to ten drugi moment podświadomie przyciągający oczy widzów do angielskiego obrazu o tragedji nieustających wojen.

Ludzkość zmęczona wojny nie chce, boi się, czuje w jej oparach gazowych nietylko śmierć, czuje zagładę kontynentu.

I dlatego, choć pacyfizm „Kawalkady" nie jest przekonywującym, dziś po wielkich dniach Genewy wzdrygają się dusze na dźwięk słowa „wojna!"

Czujemy jej oddech zatruty, towarzyszka dni naszej młodości stoi poza naszemi plecami.

Kawalkada śmierci cwałuje! Słychać tętent rumaków Apokalipsy.

A w „Stylowym" mimozawata lady płacze cicho na tymi, którzy umarli.

*(lr.)*

*Redakcja i Administracja: Warszawa, Brzozowa 2 m. 2.*

*Prenumerata roczna 12 zł., kwartalna 3 zł.*

*Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. 1 zł. — w tekscie; za tekstem gr. 40.*

*Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czerwona Róża".* *Redaktor odpowiedzialny: HANNA PRZEWŁOCKA.*

*Druk St. Niemiry Syn i S-ka, Warszawa, Pl. Napoleona 4. Tel. 676-40.*